

Wiktor Erlich

Młodość w szeregach Bundu

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (17), 128-134

1992

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wiktor Erlich

Młodość w szeregach Bundu

Mój przyczynek do naszej dzisiejszej dyskusji¹ to ani akademicki referat, ani refleksje o roli Bundu w Polsce między dwiema wojnami, lecz kartka z mojej biografii politycznej. Chcę powiedzieć kilka słów o tym, co dla mnie znaczyło dorastanie w rodzinie przywódcy Bundu i skoncentrować się na mojej działalności w szeregach bundowskiej organizacji studenckiej w Warszawie w latach trzydziestych.

W odróżnieniu od mego starszego brata Aleksandra i wielu innych „dzieci bundowskich” wstąpiłem w szeregi ruchu dopiero po maturze, ale moje dzieciństwo i wczesna młodość były mocno zabarwione specyficznymi bundowskimi motywami i postawami. Z chwilą gdy opanowałem alfabet hebrajski i osiągnąłem jaką taką biegłość w języku jidysz (miałem wtedy trzynaście lat), zacząłem regularnie przesiadywać nad stronicami partyjnego pisma „Naje Fołksajtung” i jako małe dziecko brałem udział wraz z rodziną w specjalnych imprezach bundowskich.

Żywo sobie przypominam jedną taką imprezę — imponujące zgromadzenie w 1927 roku z okazji trzydziestej rocznicy powstania Bundu. Świętecznie udekorowana sala — jedna z największych w żydowskiej

¹ Referat wygłoszony na konferencji poświęconej żydowskim stronnictwom politycznym w Polsce między dwiema wojnami, która odbyła się we wrześniu 1989 roku pod egidą Żydowskiego Instytutu Naukowego (IVO) w Nowym Jorku.

dzielnicy Warszawy — była wypełniona po brzegi. Momentem centralnym było przemówienie ojca, w którym jak zwykle pasja szła w parze z logiką. Mam wrażenie, że nie wszystko z niego zrozumiałem, i że względu na luki w mojej znajomości jidysz, i że względu na to, że pewne części wywodu ojca były dla mnie trochę zbyt skomplikowane. Jasne było dla mnie, że ojciec dobrze się prezentował na trybunie i że zebrani słuchali go w całkowitym skupieniu. O ile sobie przypominam, moją główną i w istocie głęboko niepolityczną reakcją była dziecięca duma: to mojego ojca tak słuchają!

Coś z tej atmosfery zgromadzenia musiało mi się udzielić. Opisując je w pamiętniku, który wówczas regularnie prowadziłem, zanotowałem: „Atmosfera była bardzo bundowska”. Gdybym potrafił rozwinąć to bezsporne, choć niezbyt wnikliwe stwierdzenie, wypadłoby mi mówić o głębokim przywiązaniu do tradycji bundowskiej, o „bezgranicznej wierności Bundowi”, że zacytuję hymn partyjny *Przysięga*, a także o więzi niemalże rodzinnej intymności, wzajemnego zaufania i szacunku, która łączyła mówców i słuchaczy, przywódców i „masy”.

Gdy w pięć lat później wstępowałem na Wolną Wszechnicę Polską w Warszawie, gotów byłem przystąpić do bundowskiej organizacji studenckiej „Ogniwo”, w której sądzone było mi odegrać coraz bardziej aktywną rolę. Powiem na wstępie, że sytuacja działacza bundowskiego na terenie akademickim nie była dla aktywisty partyjnego sytuacją typową. „Ogniwo” było niewielką komórką żywotnego ruchu masowego, który w Polsce między wojnami odgrywał coraz bardziej znaczącą rolę w życiu żydostwa polskiego. Jako partia kulturalnie zorientowana na język jidysz i głęboko zakorzeniona w żydowskiej klasie robotniczej, Bund wciągnął w swoją orbitę pewną liczbę socjalizujących inteligentów z ludu, ale nie był siłą specjalnie atrakcyjną dla językowo zasymilowanej żydowskiej inteligencji zawodowej. Nasz rezonans na uczelni był wobec tego ograniczony. Niemniej nie traciliśmy nadziei. Dodawało nam otuchy poczucie, że istotnie jesteśmy ogniwem dużego i mocnego łańcucha, poczucie organicznego związku z dynamicznym ruchem społecznym, zakorzenione we wspólnej ideologii i aktualizowane uczestnictwem w partyjnych zgromadzeniach, demonstracjach pierwszomajowych i kampaniach wyborczych. Ponadto, wraz z bundowską młodzieżą nieakademicką, braliśmy nieraz udział w akcjach na rzecz prasy partyjnej, gdy rozbitci na małe grupki biegaliśmy zatłoczonymi ulicami żydowskiej dzielnicy Warszawy, wykrzykując nagłówki ostatniego numeru „Naje Fołkscajtung”.

Podtrzymywała nas też na duchu harmonijna współpraca z polską studencką organizacją socjalistyczną, ZNMS-em (Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej), współpraca nieraz wspierana przez przyjaźń. Ponieważ ZNMS był zazwyczaj „na lewo” od swej partii macierzystej (PPS), różnice ideologiczne mniej przeszkadzały naszemu sojuszowi niż fakt skądinąd częstej współpracy między Bundem a PPS. Na wiele spraw „Ogniwo” i ZNMS patrzyły jednakowo, a dla studentów socjalistów czy demokratów w Warszawie w latach trzydziestych nie było sprawy bardziej palącej niż wzrastająca fala faszystowskiej i brutalnej antysemickiej dyskryminacji. Mam tu na myśli sławetne „getto ławkowe”, czyli segregację fizyczną studentów Żydów. W ostatnich latach przed II wojną światową studenci żydowscy protestowali przeciwko gettu przez odmowę zajmowania miejsc im narzuconych. Ale sytuacja wymagała też zorganizowanego, zbiorowego protestu, całkowitej mobilizacji lewicy studenckiej, czyli koalicji, do której wchodziła, poza wymienionymi ugrupowaniami socjalistycznymi, przede wszystkim, choć nie wyłącznie, żydowska prokomunistyczna organizacja „Życie”. Żywo sobie przypominam jedną z naszych wspólnych akcji — nielegalną masówkę zorganizowaną na wrogim wówczas terytorium Uniwersytetu Warszawskiego, a właściwie UJP (Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego). Jak należało oczekiwać, impreza ta trwała krótko. Podczas przemówienia przedstawiciela ZNMS-u zostaliśmy zaatakowani z dwóch stron: przez antysemickich chuliganów i przez policję uniwersytecką. Pałkarze wdarli się na nasz teren, rozglądając się za nieposzlakowane semickimi twarzami. Gdy spostrzegli moją, dwóch czy trzech rzuciło się na mnie i usiłowało mnie odciągnąć od moich towarzyszy. Równocześnie paru policjantów uczepliło się mnie, ciągnąc w przeciwną stronę. (Postawa ich była, łagodnie mówiąc, dwuznaczna.) Sytuację uratował mój brat, jeden z organizatorów masówki, który zdumiał wszystkich obecnych, włączając siebie samego, okrzykiem: „Ja go znam! To porządny człowiek!”. Zaskoczone przez to nieoczekiwane i głęboko wzruszające świadectwo obie strony atakujące puściły mnie. Oczywiście z kontynuowania wiecu wypadło zrezygnować.

Choć powołany do życia przez aż nadto realne zagrożenie, nasz jednolity front warszawskiej lewicy studenckiej także okazał się krótkotrwały. Muszę powiedzieć, że coraz trudniej mi było mieć do czynienia z moimi

„postępowymi” czy „antyfaszystowskimi” kolegami (ponieważ KPP była zdelegalizowana, jej członkowie i sympatycy musieli się uciekać do tego rodzaju eufemizmów). Ich bezkrytyczna apologetyka czystek stalinowskich przekształcała niemal każdą dyskusję w krzykliwą kłótnię. Lecz nasz kruchy sojusz rozpadł się nie ze względu na ich dogmatyzm, lecz z uwagi na ich oportunistyczny, który przybierał nieraz rozmiary wręcz groteskowe (każdy, kto był czynny politycznie na lewicy w okresie frontu ludowego, może zaświadczyć, że komuniści byli nierównie mniej ekstremistyczni w swoim pragmatyzmie niż w swoim sekciarstwie). W pewnym momencie strategii polityczni „Życia” wypracowali koncepcję rozszerzenia bazy naszej walki z antysemityzmem na uniwersytetach polskich przez włączenie do niej wraz z „burżuazyjnymi liberałami” — „endeków, którzy nie biją”. Celem tego manewru była izolacja polityczna pałkarzy.

Rzecz jasna, że tego było dla nas za wiele. Tak się złożyło, że mnie wypadło odgraniczyć „Ogniwo” od tej absurdalnej polityki i stwierdzić, nie bez pewnej satysfakcji, że ta „orgia tolerancji” czyni naszą dalszą współpracę niemożliwą.

Rozwód nastąpił na spotkaniu przedstawicieli „Ogniwa” z rzecznikami „Życia”, które się odbyło w malutkim pokoiku gdzieś w Warszawie, niedaleko od placu wyścigowego. Gdy mój kontrahent przedłożył nową linię polityczną „Życia”, odrzuciłem ją kategorycznie, powiedziałem, że nie mamy o czym gadać i demonstracyjnie wyszedłem z pokoju. To, że dziś przypominam sobie moje oświadczenie z mieszanymi uczuciami, tłumaczy się wyłącznie jego tonem, a nie treścią. Na zerwanie z „Życiem” był już najwyższy czas. Biorąc pod uwagę charakter, a raczej skalę spotkania, moja deklaracja cierpiała chyba na nadmierną *gravitas* (początkującym aktywistom nieraz brak perspektywy i ja nie byłem wyjątkiem). Powaga, z jaką przemówiłem do garstki kolegów przed opuszczeniem zebrania, byłaby chyba bardziej odpowiednia, gdybym był jednym z przedstawicieli stronnictw demokratycznego socjalizmu opuszczających historyczne posiedzenie Piotrogradzkiego Sowietu 7 listopada 1917 roku.

Był też moment, gdy nasza polityka protestu przybrała formę frontu nie jednolitego, a narodowego, choć i tu głębokie różnice ideologiczne w społeczeństwie żydowskim mocno dały się odczuć. W 1939 roku wszystkie żydowskie organizacje studenckie Warszawy wspólnie zorganizowały trzydniowy masowy strajk głodowy, żeby udratyzować

naszą kampanię przeciw gettu ławkowemu. Jest rzeczą znamioną, że ten akt solidarności żydowskiej dał powód do konfrontacji najważniejszych kierunków politycznych w żydostwie polskim. Wkrótce potem, jakeśmy się jako tako rozgościli w zaniedbanym budynku znanym jako ŻDA (Żydowski Dom Akademicki), zjawili się tam przywódcy wszystkich prawie stronnictw żydowskich, żeby zadeklarować poparcie moralne i solidarność, a przy okazji starać się zwerbować nowych zwolenników. Najbardziej zręczne, choć nieco demagogiczne przemówienie wygłosił znany mówca syjonistyczny M. Kleinbaum, który później stał się bardzo sporną postacią na lewicy izraelskiej pod pseudonimem Mosze Sneh. Przywołując na pamięć znaną myśl, że położenie Żydów w danym kraju jest dobrym wskaźnikiem stanu moralnego społeczeństwa, Kleinbaum zawołał patetycznie: „Mamy dość służenia za barometr innych ludzi!”. Choć ani ja, ani moi towarzysze nie mogliśmy odmówić Kleinbaumowi skuteczności retorycznej — przemówienie, na które zareagowaliśmy burzliwymi oklaskami, wygłoszone zostało przez przywódcę Bundu S. Mendelzona, który wezwał zebranych do traktowania kampanii przeciw antysemityzmowi jako organicznej części walki o demokratyczną i socjalistyczną Polskę.

Nieraz słyszałem zdanie, że w świetle tego, co się stało z Żydami polskimi podczas II wojny światowej, a także i po tej wojnie, tego rodzaju nadzieje czas uznać za naiwne, a także utopijne. Nie jestem o tym przekonany. Przyznaję, że nasz długofalowy optymizm opierał się w części na nadmiernej marksistowskiej koncepcji antysemityzmu. Dziś, choć doceniam związek między ogólnym klimatem politycznym kraju i nasileniem dyskryminacji etnicznej, gotów jestem twierdzić, że żadna klasa społeczna, choćby najbardziej „postępowa”, nie jest całkowicie uodporniona na antysemityzm i że żaden system socjo-ekonomiczny, jakkolwiek skądinąd pożądany, nie gwarantuje rozwiązania „kwestii żydowskiej”. Ale nie jestem skłonny mieć za złe, retrospektywnie, ani sobie, ani byłym towarzyszom, tego, żeśmy łączyli walkę o godność żydowskich mas pracujących z wizją Polski wolnej i sprawiedliwej, ani też tego, żeśmy wiązali nasze własne polityczne i społeczne aspiracje z krajem ojczystym. Ponadto sądzę, że ta właśnie postawa walczyła się przyczyniła do efektywności i zdecydowania w moralnym i fizycznym oporze, który Bund stawiał wzrastającemu antysemityzmowi, oporze, który w ostatnich latach przed wojną przysporzył partii poparcia i popularności w społeczeństwie żydowskim poza kręgiem swoich stałych zwolenników i sympatyków.

To poczucie zakorzenienia w glebie diaspory wschodnioeuropejskiej przenikało jeden z najbardziej żywotnych aspektów „etosu” bundowskiego — mianowicie nierozzerwalny związek ruchu bundowskiego z żydowskim renesansem kulturalnym. Epizod, o którym wspomnę, wydaje mi się w tym względzie symboliczny.

Działo się to w zimie 1940 roku w Wilnie. Znaleźliśmy się tam w październiku 1939 roku w nadziei, że uda nam się tam czegoś dowiedzieć o ojcu². Większość działaczy warszawskiego Bundu, którzy we wrześniu szli na wschód tą samą trasą co my, też znalazła drogę do „Jerozolimy litewskiej”. Wkrótce po naszym przybyciu do Wilna Związek Sowiecki zrobił wspaniałomyślny gest w stosunku do Litwy, ofiarowując jej powiat wileński, a następnego lata, jak wiadomo, zainstalował na całej Litwie bazy wojskowe jako swoisty prolog do jej późniejszej inkorporacji. Mieliśmy zatem krótką chwilę wytchnienia — czyli okres, w którym nie byliśmy bezpośrednio zagrożeni, ale który był zdominowany przez niepokój o ojca i o to, co stanie się z Polską, a zwłaszcza z jej ludnością żydowską, jak i z całym kontynentem europejskim po agresji nazistowskiej

W tym to trudnym okresie, w środku szczególnie ostrej zimy wileńskiej, miałem sposobność wraz z wieloma równie jak ja zziębniętymi tubylcami i uchodźcami, siedząc w nie opalanej sali żydowskiego gimnazjum wileńskiego, wysłuchać odczytu S. Mendelсона o Y. L. Percu.

Chciałbym powiedzieć kilka słów o tym nieprzeciętnym człowieku. Wybitny pedagog, jeden z architektów świeckiego szkolnictwa żydowskiego, Mendelson był głębokim znawcą i niezwykle wymownym rzecznikiem nowoczesnej literatury i kultury żydowskiej. Był on jednym z najbardziej charyzmatycznych mówców i chyba najlepszym mówcą w języku jidysz, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem. Jeśli Henryk Erlich i Wiktor Alter opanowali jidysz i stali się dobrymi mówcami i publicystami w tym języku, dlatego że jako socjaliści żydowscy związali swój los z losem żydowskich mas pracujących, to Mendelson był zapalonym jidyszystą, który stał się bundowcem dlatego, że widział w Bundzie jedyny żydowski ruch społeczny popierający bez zastrzeżeń sprawę jidysz. Odczyt Mendelсона łączył wnikliwą analizę twórczości Percera

² Chciałbym powiedzieć, że gdy mówię „my”, mam na myśli moją najbliższą rodzinę — matkę, żonę, brata i bratową. (Na początku października 1940 roku ojciec został aresztowany w Brześciu Litewskim przez NKWD.)

z patosem moralnym. Chyba najsilniejsze wrażenie zrobiło na mnie to, co mówił o dramacie Pereca *Złoty łańcuch*, a szczególnie jego wywód o głównym bohaterze dramatu rebe Szłojme, który pod koniec sabatu odmawia spełnienia swego rytualnego obowiązku ogłoszenia końca święta i powrotu do codzienności i na przekór rytuałowi oświadcza: „Niech sabat zapanuje na całym świecie!”. Jeśli w ustach Mendelzona ten romantyczny protest przeciwko rutynie nabrał specjalnego znaczenia, inny cytat z Pereca znalazł w jego słuchaczach jeszcze silniejszy rezonans. Pod koniec odczytu donośny głos Mendelzona rzucił w skupioną salę apel Pereca: „Trzeba wyzwolić świat od męki i strachu!”.

Kiedykolwiek wspominam ten niezwykle wieczór w Wilnie, słyszę to płomienne wezwanie. Za każdym razem uderza mnie myśl, że jest coś głęboko stosownego, wręcz symbolicznego, w tym, że w jednym z najgroźniejszych momentów w dziejach Żydów najbardziej wymowny rzecznik Bundu czerpał otuchę i siłę do wytrwania z dorobku klasyka nowoczesnej literatury żydowskiej.